

Juliusz Gałkowski: Czas Apokalipsy?

Malejąca liczba wiernych w najmniejszym stopniu nie umniejsza wielości bosko-ludzkiego tworu jakim jest Kościół Rzymsko-Katolicki. Ze Starego Testamentu wiemy, że liczba nie jest dla Stwórcy żadnym ograniczeniem. Słowa o reszcie Izraela są wielką nauką dla wiernych, chyba przede wszystkim dla tych, żyjących współcześnie – pisze Juliusz Gałkowski, polemizując z artykułem Jaremy Piekutowskiego.

Na portalu Nowa Konfederacja opublikowano artykuł Jaremy Piekutowskiego **Narracyjna Apokalipsa. Jak Kościół traci wiernych**. Jest to interesująca analiza, a co więcej, napisana z wyraźną życzliwością, co w dzisiejszych czasach nie jest bynajmniej oczywiste. Autor, konstatując zdecydowane zmniejszenie religijności na całym świecie, widzi w tym przejaw kryzysu w Kościele Rzymsko-Katolickim. Aby wyjaśnić na czym ów kryzys polega, i wskazać jego przyczyny, autor stawia interesującą tezę.

W jego przekonaniu opowieść o Zbawieniu, jaką prezentuje światu Kościół nie odpowiada w swojej formie na zapotrzebowanie współczesnego świata. Przepowiadanie chrześcijan (Piekutowski w zasadzie pisze o katolikach) jest „wielką narracją”, która w dobie *świata on-line i nowych mediów internetowych* nie przemawia do ludzi, w szczególności do młodej generacji. Ale – co trzeba uczciwie przyznać – autor nie stawia łatwych i efekciarskich tez i recept, ale wskazuje problem i zaprasza do dyskusji.

Warto zatem na to zaproszenie odpowiedzieć.

...nie ten świat...

Zacząć należy od jednoznacznego ustalenia o jakiej rzeczywistości mówimy. Tekst Piekutowskiego to jest jednak swoisty *cicer cum caule*, gdzie z jednej strony mowa o Kościele powszechnym, z drugiej o partykularnym Kościele polskim. Różny poziom kryzysu, różne objawy, a zatem czy diagnoza jest jednolita dla całego świata? Co prawda autor stwierdza, że stawia diagnozę Kościołowi zachodniemu, a przede wszystkim polskiemu. Ale musi wybrzmieć pytanie, na ile sytuacji w naszym kraju jest wyjątkowa, a na ile typowa.

Pytanie jest tym istotniejsze, że w gruncie rzeczy tekst z Nowej Konfederacji, oparty jest na – do niedawna dominującej (a i dzisiaj wciąż prominentnej) – teorii sekularyzacyjnej. W tym miejscu jedynie wskażę, że argumenty przedstawicieli teorii sekularyzacyjnej są w najnowszej literaturze bardzo często krytykowane za przenoszenie pewnych jednostkowych (czy to geograficznie, czy to chronologicznie) zjawisk na globalny obraz społeczeństw i związków religijnych.

Odnoszę wrażenie, że z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia w przypadku Narracyjnej Apokalipsy. Ale nie jest to jedyne moje zastrzeżenie. Warto przede wszystkim zwrócić uwagę, że opis świata proponowany przez Piekutowskiego, jest niepełny, a zatem w pewien sposób (jestem przekonany, że bez takiej intencji) wprowadzający czytelnika w błąd. Z tekstu wynika bowiem, że w dzisiejszym świecie

ludzie (przede wszystkim młodzi) stoją wobec swoistego „wolnego rynku narracji”. Kościół zaś nie dostosował się do nowych czasów i w gruncie rzeczy sam jest sobie winien. Rozumiem, że mamy do czynienia z koniecznym uproszczeniem, jednakże z tak wyrażoną opinią nie sposób się zgodzić.

Nie mamy bowiem bynajmniej do czynienia z wolnym rynkiem, ani też szwedzkim stołem idei. Autor podaje nam przykład Chin, w których *większość mieszkańców to osoby niereligijne, a 200 mln to zadeklarowani ateści*. Jeżeli nawet przyjmiemy, że przepowiadanie Kościoła to wielka narracja, to w ChRL zderza się ona nie tyle narracją nowoczesną (bądź po-nowoczesną) lecz starą jak świat „narracją pałki i stryczka”. Mowa bowiem o kraju, w którym nie ma żadnej mowy o wolności wyznania i sumienia. Podobnie rzecz się ma ze światem Zachodu – będącym głównym przedmiotem rozważań autora. Od Rewolucji Francuskiej jest on teatrem, mniej lub bardziej krwawej, wojny z chrześcijaństwem. Ową, ociekającą krwią męczenników, historię Piekutowski podsumowuje jednym zdaniem: *Później przyszła reformacja, Oświecenie, a wreszcie w XIX w. zadrżał w posiadach przez nowe idee i odkrycia naukowe (z Darwinowskimi na czele) oraz tryumfalny marsz trzech „mistrzów podejrzeń” – Karola Marksa, Fryderyka Nietzschego i Zygmunta Freuda*. No cóż, wynikałoby z tego, że ludziom Kościoła zabrakło po prostu odpowiednich argumentów...

Także i współczesny świat on-line nie jest w żadnym przypadku wolnym rynkiem idei. Jest to rzeczywistość nieprzyjazna wielkim narracjom, ale bynajmniej nie z powodu rozwoju technologicznego. Od czasów romantyzmu internetowego, gdy uważano, że będzie to bezkres wiedzy i wolności, dawno odeszliśmy. Mamy do czynienia z obszarem mocno skomercjalizowanym, i zmierzającym szybkim krokiem ku

zjawisku, którego nie sposób inaczej nazwać niż terminem z „Seksmisji”. Jest już powszechną, wiedza o tym, że nasze wybory w internecie są poddane nie tylko manipulacjom, ale wręcz sugerowane, i oczywiście nieustannie inwigilowane. Między bajki należy włożyć wizję usługowych algorytmów, które są nastawione na wyszukiwanie interesujących nas tematów. „Na tacy” podawane są te, które służą sprzedaży lub rozrywce. Dlatego też dziwi fakt, że Jarema Piekutowski rzeczywistość wirtualną opisuje następującymi słowami:

W świecie internetu można w ciągu sekundy przeskoczyć z portalu lewicowego na prawicowy, z Biblii Tysiąclecia na „Biblię Szatana”, obejrzeć wykład Jordana Petersona, a po chwili – Judith Butler; na Spotify, wolni od koncepcji „albumu” możemy w kilka sekund stworzyć składankę z Bacha, ambientu, bluesa i black metalu, a na facebookowej ścianie, o ile nie jesteśmy zbyt selektywni w wyborze i usuwaniu znajomych, obok siebie będziemy widzieć memy lewicowe i prawicowe. Jest to doskonałe środowisko dla wymierania wielkich narracji, gdyż nie ma w nim wystarczających narzędzi do ich podtrzymania, zaś znakomicie służy ono utrzymywaniu obok siebie różnych lyotardowskich „gier językowych”.

Internet utrzymuje nas w bańkach jednolitych grup i jednolitych poglądów oraz – co najważniejsze – stara się ukierunkować nas na specyficzny, bardzo skomercjalizowany, system myślenia. To nie jest spiskowa teoria, to jest po prostu wynik wniknięcia do internetu wielkich korporacji, których zadaniem jest zysk.

Ale nie ma najmniejszego powodu ukrywać, że owe globalne przedsięwzięcia mają także swoją ideową stronę. Czy google lub facebook (że wyliczę najbardziej ograne medialnie przypadki) nie prowadzą swojej specyficznej polityki nie tylko biznesowej i informacyjnej, ale także społecznej i kulturotwórczej?

...i nie ten Kościół...

Ale nie tylko opis otaczającej nas rzeczywistości – zawartej w omawianym tekście – wydaje się nieadekwatny. O wiele trudniejszy do przyjęcia jest (nie opisany wprost ale nakreślony pośrednio) obraz Kościoła i jego „narracji”. Wydaje się, że podstawowym, nie do końca wypowiedzianym, założeniem tekstu jest przekonanie, że zadaniem Kościoła jako instytucji jest bycie najliczniejszą i najpotężniejszą. Zmniejszająca się liczba wiernych (autor epatuje nas wykresami o *dominantes*) czy informacja o zmniejszającym się zaangażowaniu religijnym młodzieży powinna być – jak wskazuje Jarema Piekutowski – miernikiem sukcesu Kościoła. A przecież rzecz ma się zupełnie odwrotnie. Kościołowi, czy Bogu, wierni są niepotrzebni, to Kościół jest tym wiernym do zbawienia niezbędny. Odejścia od wiary, od życia sakramentalnego, od Kościoła wreszcie, są stratą nie instytucji lecz odstępców. Głosimy Dobra Nowinę, nie dla nabijania statystyk czy ćwiczeń erystycznych, lecz aby jak największą liczbę sióstr i braci sprowadzić do Boga.

Malejąca liczba wiernych w najmniejszym stopniu nie umniejsza wielości bosko-ludzkiego tworu jakim jest Kościół Rzymsko-Katolicki. Ze Starego Testamentu wiemy, że liczba nie jest dla Stwórcy żadnym

ograniczeniem. Słowa o reszcie Izraela są wielką nauką dla wiernych, chyba przede wszystkim dla tych, żyjących współcześnie.

Zatem namysł nad „narracją Kościoła”, w czasach współczesnych nie powinien być odnoszony do wpływu (klikalności, oglądalności czy „media impaktu”) ale tego jak ma się ona do Objawienia. Apostoł nie martwił się czy nawróci wielu, stwierdzał jasno: „Biada mi bowiem, gdybym nie głosił Ewangelii!” (1Kor. 9,15).

Warto zapamiętać te słowa, wszak tenże sam święty Paweł poniósł przecież na Areopagu nieprawdopodobną „klęskę narracyjną”.

Brak nam teologii

Szereg uwag i zastrzeżeń nie jest jednak podstawą do twierdzenia, że nie zgadzam się z tym co w tekście Jaremy Piekutowskiego najważniejsze. Wręcz przeciwnie – zauważa on (choć nie pierwszy i zapewne nie ostatni) że coś się z naszym przepowiadaniem wydarzyło. Z całą pewnością dobrze się stało, że zainicjował debatę i należy mieć nadzieję, że będzie się na rozwijała. Bowiem zostaliśmy powołani do tego by iść na świat i głosić Dobra Nowinę. I zapewne nie będzie nic złego w spontaniczności, w ewangelizowaniu „na żywca”, ale należy zdawać sobie sprawę z ogromnego ryzyka, jaką ono ze sobą niesie. Dlatego takie działania powinny być dobrze przemyślane, tym bardziej że widać szereg słabości w przepowiadaniu polskiego Kościoła. Korzystając z okazji, pozwolę sobie zauważyć kilka słabości, które są dla mnie wyraźnie widoczne.

Pierwszą jest brak języka teologicznego w naszej mowie; język kapłanów i teologów jest wypierany przez agendę i słownik dziennikarzy. Nie sposób nie zgodzić się z autorem, gdy pisze te słowa:

Dziś można odnieść wrażenie, że agenda podstawowych problemów przejmowana jest od mainstreamowych mediów; są na niej bieżące wypowiedzi biskupów, Jarosława Kaczyńskiego, Mariusza Błaszczaka czy Donalda Tuska. Znane z lat 90. wielkie dyskusje ks. Józefa Tischnera z prof. Mieczysławem Gogaczem czy z Jerzym Turowiczem w efekcie zastępuje bieżące reagowanie na kolejną, mało zaskakującą wypowiedź biskupa Jędraszewskiego czy kolejny obrazek z „tęczową Maryją”.

*Wolałbym, aby abp
Jędraszewski mówił raczej o
zagrożeniu, jakie naszemu
myśleniu niesie postawa
gnostycka, „od zawsze” w
sporze z nauką Zbawiciela, niż
powtarzał żurnalistyczne
zwroty o zarazach i
ideologiach*

I chociaż uważam, że
ordynariusz
krakowski stał się
dyżurnym chłopcem
do bicia, to jednak
wolałbym, aby mówił
raczej o zagrożeniu,
jakie naszemu
myśleniu niesie
postawa gnostycka,
„od zawsze” w
sporze z nauką
Zbawiciela, niż

powtarzał żurnalistyczne zwroty o zarazach i ideologiach. Problem polega na tym, że przykład idzie z góry. Jeżeli tak prominentna postać Kościoła, jak metropolita krakowski użył tych zwrotów (nawet jeżeli są

one homiletycznie uzasadnione) to istnieje ryzyko, że zwrot ten będzie powielany w dziesiątkach kolejnych kazań i artykułików. A to zubaża zarówno nasz język, jak i nasze myślenie. Kościół w Polsce stać intelektualnie na to by podejmować trudne tematy teologiczne i przekładać je na język kazań i publicystyki.

Że tak jest może dobitnie przekonać każdego czytelnika pisarstwo Jacka Salija OP, łączące w sobie teologiczną subtelność, pastoralne wyczucie, i doskonały styl literacki. Oczywiście nie każdy jest Salijem, ale lepiej iść szlakiem przez niego wytyczonym, niż podejmować spory na z ludźmi naprawdę niewiele rozumiejącymi z kościelnej rzeczywistości.

Po roku 2000 (zatem w zaledwie dwóch ostatnich dekadach) ukazało się w Polsce kilka naprawdę doskonałych teologicznych rozpraw. Kto o nich słyszał? Czasami mam wrażenie, że wyprzedajemy nasz wielki skarb za grosze.

Fides zanika, bo ratio brakuje

Nieustająca debata na temat braków i słabości (by nie użyć bardziej dobitnych słów) naszej katechezy szkolnej oraz formacji dorosłych jest zarazem nieprawdopodobnie rachityczna. Przyczyną jej słabości jest fakt, że niemal natychmiast jest wyciszana argumentem o konieczności „obrony katechezy w szkole”. Nie do pojęcia dla mnie jest fakt, że wciąż dajemy się nabrać na to nieuczciwe i skrajnie demagogiczne twierdzenie. Zdumiewa mnie także to, że decydenci kościelni (duchowni i świeccy) nie boją się, że niedługo nie będzie czego bronić. A pomysł, że najlepiej się obroni katecheza dobra metodycznie, z

dobrymi podręcznikami i naprawdę doskonale wykształconymi nauczycielami, wydaje się być poza jakąkolwiek możliwą do wyobrażenia perspektywą.

Jeden z najwybitniejszych intelektualistów Kościoła (nie tylko polskiego) Jacek Woroniecki OP pisząc o słabości polskiej inteligencji religijnej stwierdził dobitnie:

Obok fideizmu drugi kierunek umysłowy szerzy w życiu religijnym naszej inteligencji silne spustoszenie – a jest nim sentymentalizm.

Po niemalże stu latach trzeba cierpko stwierdzić, że miał, i ma nadal, rację. Nie przyjął się u nas modernizm, ani szaleństwa reform po *Vaticanium Secundum*. Tak, szaleństwa! wszak takowe były. Z żalem trzeba jednak stwierdzić, że i wiele dobra wskazanego przez sobór, też się w Polsce nie przyjęło. Nie przyjęła się także encyklika świętego Jana Pawła II *Fides et Ratio*.

Marudzę? Zapewne tak. Ale proszę przyjrzeć się jaką intelektualną wartość ma bardzo dużą część naszej katolickiej prasy (o nakładach nie wspomnę) i katolickich książek. Nie chcę bynajmniej powiedzieć, że są głupie. Nie, po prostu nieodmiennie pływają się w fideizmie i sentymentalizmie. Coraz bardziej brakuje nam twardej formacji intelektualnej, a w zamian dostajemy „sacro-polo” i „przepisy kuchenne siostry Anastazji”. Przesada? Zatem dajmy sobie pytanie: czy

więcej wiemy o tym jaką dietę propagowała św. Hildegarda z Bingen, czy jaka była jej koncepcja muzyki, liturgii i teologii, lub jakie były treści jej mistycznych przeżyć.

Od odzyskania niepodległości (czyli ponad czterech pokoleń) pojawiają się w naszym polskim Kościele wezwania by dbać o formację intelektualną. Czyżby były to nawoływania na puszczy? Nasza wiara marnieje, bo dotknęła nas atrofia drugiego skrzydła. Jak chcemy kontemplować i przekazywać innym prawdę?

Nie chodzi o to by każdy zaczytywał się w *Summie*. Ale trzeba jednak mieć coś w głowie. Czytając *Dzienniczek* siostry Faustyny – osoby niewykształconej i prostej – widać wyraźnie, że podstawy katechizmu opanowała wybornie. Przeżycia mistyczne padły na nie wyjąłowioną sentymentalizmem, żyzną glebę. I tak powstała najpoczytniejsza polska książka, przetłumaczona na (chyba) wszystkie języki świata.

...idźcie na cały świat...

Już tylko dla porządku wspomnę o braku ewangelizacyjnej żarliwości. Nie chodzi o to, by naśladować pierwszych chrześcijan. Nie trzeba iść nawet śladem naszych braci „świadców Jehowy” lub mormonów. Ale czy nie jest tak, że często wstydzimy się naszej wiary wobec sąsiadów, czy nawet rodziny? Takie świadectwo, musi skutkować brakiem religijności u naszych dzieci.

* * *

Ktoś zarzuci mi, że jest w tym tekście nadmiar czarnowidztwa. Wskaże gorliwych ewangelizatorów, doskonałych katechetów, wybitnych teologów i wspaniałych kapłanów. Przywoła pełne kościoły, tłumne pielgrzymki, czy procesje. I trudno będzie z takimi jednostkowymi przykładami dyskutować. Ale nie umiem jednak ukryć niepokoju.

Przed przygnębieniem bronią mnie tylko słowa świętego Jana Pawła II:

Gdy patrzymy na dzisiejszy świat powierzchownie, uderzają nas liczne fakty negatywne i możemy popaść w pokusę pesymizmu. Jest to jednak wrażenie nieuzasadnione, wierzymy przecież w Boga, Ojca i Pana, w Jego dobroć i miłosierdzie.

Juliusz Gałkowski

Fot. Wikipedia Commons, CC. BY 4.0